



# DODATEK LITERACKI

## DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

### Artyzm Reymonta.

URYWEK Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI.

Dzieła Reymonta stanowią pomnik niezniszczalnego piękna. Wzniesione doryckim porządkiem ogromne, surowe są areydziałem doskonałej harmonji, oraz prostoty. Zamysł architektoniczny zwycięża w nich zawsze bezład wzburzonych uczuć i swawolę rozpalonej wyobraźni autorskiej. Reymont ginie w dziele, oddaje mu się bez zastrzeżeń. Nigdy nie załamuje w niem marginesu dla osobistych wspominków. Nie podpowiada swoim bohaterom zdań, które obce są im duchem i treścią, natomiast bliskie zawodom i goryczom samego twórcy. Jest klasykiem, o ile zgodzimy się na twierdzenie Le maitre'a, że klasycyzm oznacza metodę, za pomocą której najwyższe wrażenia estetyczne wywołujemy drogą użycia najprostszycich środków. Dzieło Reymonta mówi samo za siebie. Porusza się w obrębie spraw i zagadnień powszechnie zrozumiałych, dostępnych bez szcudeł wyjaśnień, dopisków i egzegezy. Nawskroś polskie, żywcem zaprzędane w niewolę bujnej mocy plemienniej, jest wszakże zarazem ogólnoludzkie jak rzadko które w naszym piśmiennictwie. Dzieje Boryny, dzieje Antka i Jagny, dzieje Zaręby, lub Monitza Welta są dla cudzoziemca równie zrozumiałe, jak Szekspirowskie historie o królu Learze, Romeo i Julji, Brutusie lub Shylocku. Reymont podobnie jak Szekspir, stawia swych bohaterów w obliczu sił pierwotnych lub oddaje ich na pastwę nieposkromionych namiętności. Spiętrza wypadki, które odsłaniają w całej nagości ich dusze. Przyczem, jak dramaturg, odosabnia i wyolbrzymia poszczególną namiętność, pozwalając jej urosć do rozmiarów symbolu. (Boryna, Jagna, Antek, Iza, Michał Kozioł, Rocho, Zaręba i t. p.).

Reymont stroni od wątków zaściankowych od tych spraw bolesnych, owianych słodkim urokiem, które drzemiają w niejednej mo-

gile powstańczej, od tej klechdy przedziwnej, która schroniła się do dworów szlacheckich przed ciosami wroga, od tej myśli więzionej, a zbawiającej ludy marzeniem, gdy Polska chodziła w lachmanach. Wyobraźnię Reymonta zniewoliła jurność narodoła. Zniewoliła, pociągnęła ku sobie, oczarowała na całe życie. Reymont jest w każdym calu wielkim budowniczym. Jego treść duchowa i jego artyzm wznoszą się stopniowo od szarej gleby ziemskiej ku niedosiężnym gwiazdom. Do opanowania rzeczywistości szedł zbrojny, wypróbowany doświadczeniem, w miarę gorzkim, aby uchronić od złudzeń. Zgłębił istotę rozwoju nowożytnego społeczeństwa w Polsce. Jako człowiek mocny, ujmował dzieje tych przemian ze stanowiska walki o byt plemienny. Sławił rasę, jestestwo nieśmiertelne, niepodległe spaceniu i zagładzie. Myślom swoim nadawał zawsze formę doskonałą. Był fanatykiem piękna. Słęczał godzinami nad pokreślonym rękopisem i dobierał słów, króreby odpowiadały zamysłowi, jak muzyka pieśni. Wiązał te myśli w zdaniach, zabiegliwie rzeźbionych, niby drogocenne kamee. Cheiał, żeby widniały oczom ludzkim w całej krasie, jak motyle zastygłe w bursztynach. Reymont styl swój budował, wznosił powoli, dbając o kierunek plonu i rozkład ciężenia. Gdy u innych mistrzów pióra słowo unosi się nad treścią jak obłok różnobarwny, błaka się jak sen czarodziejski, wyprzedzając chyżym lotem ocięzając logikę rzeczywistości, u Reymonta słowo idzie pracowicie za treścią, jak plug za wołem. Worywa się w rzeczywistość, wyważa jej wartość najistotniejszą i dopiero wtedy ucieka w niebiosy jak skowronek, by rychło spaść znowu na czarną skibę powszedniości.

Pisarze zagraniczni już dosyć dawno, bo około roku 1910, zwrócili uwagę na mistrzowską budowę powieści Reymonta. Wtedy to

właśnie znakomity uczony francuski, potomek polskiego wychodźcy, Teodor de Vyzeva pisał w „Revue des deux mondes“: „powieści te nie uderzałyby nas zupełnym brakiem równowagi w kompozycji jak utwory Sienkiewicza lub Prusa. Nawet najdłuższe z tych książek nie są nigdy stłoczone, powietrze i światło krąży w nich swobodnie“. Mniej więcej tak samo się wyrażali się prof. Book, Stender Petersen i wielu innych. Istotnie, powieść Reymonta może być wzorem starannego obmyślenia szczegółów i harmonijnej całości. Jeden rozdział wynika z drugiego, jak wniosek z przesłanek. Pisarz nie folguje rozgrzanej imaginacji, nie zajeżdża w głębokie epizody, które dla niejednego autora bywają ponętą okazją do zachwycających harców pomysłowości i arcyzmu. Wiele naszych powieści „nierządem stoi“. Najświetniejsze, najwymowniejsze są w nich karty, poświęcone epizodom, gawędom i wszelakim awanturczo-rycerskim wycieczkom z bitego gościńca fabuły. Reymont strzeże się jak ognia nieskładnej jazdy naoklep po wertepach dorywczego fantazjowania. Jest ścisły, surowy, nieustępliwy. Postacie i wydarzenia muszą go słuchać. Stąd też w jego powieściach panuje osobliwy despotyzm architektonicznego zamysłu. Nawet drugorzędne figury nie płaczą się jak gapie na odpuszczenie. Są nieodzownym składnikiem ogólnej wizji artystycznej danego środowiska lub danej epoki historycznej. Epoka i środowisko biorą w karby jednostkę i ponadczasowy świat indywidualny, świat nieobliczalnych marzeń i cudotwórczych wysiłków samotnej myśli. Powieść Reymonta, jak stary epicki rapsod, opowiada o jednostkach tęgiech, mocnych, ogromnych, które są chwałą rasy, ozdobą plemienia, znamieniem danego czasu i jego obyczaju. Dlatego w gruncie rzeczy bohaterem „Chłopów“ nie jest ani Boryna, ani Antek, ani Jagna — tylko wieś i chłopstwo. Bohaterem trylogii „Rok 1794“ nie jest ani Zareba, ani Miecznik, ani Kościuszko, tylko ówczesna doba historyczna i społeczeństwo polskie w przededniu insurekcji.

Reymont zasiadając do pisania, jakiejś powieści, ma zawsze przed oczyma wizję socjologiczną, wizję życia gromadnego. Byt jednostki ograniczony jest zewsząd przez Fatum społeczne. Prawo gromadzkie działa bezlitośnie jak giljotyna. Ścina lby na prawo i na lewo. Prózno człowiek mocny usiłuje zdobyć sobie niezależność, daremnie wypowiada wojnę żelaznej konieczności gromadzkiego współżycia. Jego duma rychło doznaje porażki. A to wszystko o co zabiegał, co wydawało mu się godnym szczytnych poświęceń owo szczęście osobiste, brodzące samopas, owe marzenia lotne, jak chmury wiosenne, lub jak odbicie niebios w toni wodnej — to wszystko obraca się przeciwko niemu. W godzinach rozrachunku gorzko żałuje samowolnych uniesień. Wkłada na plecy jarzmo społecznego obowiązku. I wtedy osiąga spokój. Takie są przecież dzieje Antka Boryny, Macieja Boryny, Szymka Paczesia, Hanki Borynowej, Sewera Zareby i wielu, wielu bohaterów oraz bohaterów Reymonta.

Mimo grożącej klęski, nigdy jednostka silna nie wyrzeknie się tej rozkoszy, jaką spr-

wia wydarcie z pazurów Fatum choćby jednej chwili osobistego szczęścia. W tej chwili krótkiej, jak mgnienie powiek, zawiera się cała nieskończoność radosnego zachwytu. Człowiek wyzwala się z pęt ziemskości. Jak duch wzbija się na wyżyny, skąd ogarnia wzrokiem szerokie horyzonty spraw zaświatowych. Niestety, w surowym świecie Reymonta tego rodzaju szczęście jest zarazem grzechem. W swej najprostszej postaci występuje ono jako szal miłosny. Jagna z „Chłopów“, Iza z trylogji, uosabiają tę dziwną potęgę, utkaną z samych sprzeczności. Bierność graniczy w niej z despotyzmem, zachwyty ze wzgardą, upojenie z bólem, wierność z wiarołomstwem, słodycz z goryczą. Gdy ona zawoła pod nogami wybrańców otwiera się otchłań, wciąga ich w swoje szaleńcze wiry, a później wyrzuca na świat — zgorzkniałych i strawionych gorączką. Tak tedy jest to moc złowroga, przeciwna ładowi społecznemu. Szczęście, którem darzy, roi się od zdradzieckich potrzasków. Rozkosz graniczy z cierpieniem, a zapamiętanie uwodzi na manowce społecznego zdziwienia, gdzie człowiek tuła się, jak wilk bez stada, myśląc o sobie i o swoich przygodach. Czy prędzej, czy później, prawo gromadkie zażąda ukarania winnych. I wówczas przed sądem pospółstwa staną Jagna oraz Iza, rzekome sprawczyńnie klęsk i nieszczęść, a w istocie rzeczy biernie ofiary potęgi kosmicznej. Gromada je wyklnie, sponiewiera i ciśnie bez miłosierdzia za obręb człowieczeństwa. „Zaś Jagusia, w postronkach, na gnoju, zbita do krwi, w porwanem odzieniu, pohańbiona na wieki, skrzywdzona ponad człowiecze wyrozumienie i nieszczęsna ponad wszystko, leżała jakby już nie słysząc, nie czując, co się dzieje dokoła... Były w nią głosy, grudy ziemi, kamienie i przygarście piachu, a ona leżała kiej kłoda, zapatrzona jeno w rozkolebane nad sobą drzewa“. Mimo okrucieństwa wyrok gromady jest sprawiedliwy, zwraca się bowiem nietyle przeciw jednostkom, co przeciw złu w nich zakorzenionemu, złu, które wprowadza zamęt i bezład tam, gdzie od wieków panuje, uświęcony obyczajem, ład i karność. Współczucie Reymonta mileży. Zresztą cóż waży sentyment, jaki zysk dać może tam, gdzie człowiek zмага się z bytem twardo, zapamiętałe, okrutnie. Życie — jak samowładca, dyktuje prawa, a wszelki stwór musi ich słuchać. Oto i wszystko. Jedynym orężem w ręku człowieka jest — wola. Ona przeobraża świat dokoła. Wznosi potworne miasta. Obsiewa ziemię żywicielkę. Trzebi nieużytki. Karczuje głuche, niezbrodzone lasy, aby im wydrzeć z gardzieli kawał urodzajnego pola. Ona wreszcie działa w historii, niwecząc tyranję, wnosząc giljotyny dla łbów opornych ciemniaków, zdobywając nieśmiertelną sławę w krwi, w poniewieraniu, w swędzie dymów prochowych. Powieść Reymonta spisuje niejako dzieje niezłomnej, upartej zaciętej woli ludzkiej. Słuchać w niej, niby w bezdennej topieli morskiej wiecznie pracującą energję. W jej głębiach graniczą ze sobą dwa światy: świat wzniesłego mytu i nagiej rzeczywistości. Zagładamy w otchłań spraw wiecznych, aby wkrótce wpaść między ludzi starych, pospolitych, zgry-

zionych zgola ziemskimi turbacjami. A jednak stąd właśnie, z tych szarych ludzi wykwitą piękno życia, myt wzniosły i dostojny. I to zarówno, czy patrzeć na świat przez bławe okna chłopskiej chałupy, czy przez zwierciadlane szyby magnackich dworów. Zewsząd ten sam widok doczesności, która zwolna wchodzi w wieczność. „Wnet jednak zapomniał o wszystkim, zatapiając oczy w wyobrażeniu Chrystusa nad ołtarzem. Wisiał na krzyżu na dnie chmurnego nieba i błyskawic, rozdzierających ciemności w pokrwawionych łachmanach ciała, opuszczony od wszelkiego stworzenia sam w granicach widomego świata... Był obrazem człowieczego żywota zawieszzonego między nędzą bytowania, a nadzieją wieczności. (Nil desperandum). W obliczu tajemnicy i grozy człowiek traci cechy nieistotne. Duch jego wyzwala się z pod ucisku zmiennych okoliczności, przygodnych uczuć, ludzących wrażeń, upraszcza się. Olbrzymieje. Urasta w myt. Wszak mrący na ojcowskim zagonie Boryna — przywodzi na myśl mytycznych herosów. Tak samo Michał Kozioł, i Miecznik, i Jagna. Dlaczego? Bo zawarli w sobie odwieczne czynniki ładu ziemskiego: Trochę siewcy i oracza, ciężką ple-

mienną i żywioł miłosny. Boryna zamrze, a nie wypuści z garści okrucha ziemi, Miecznik każe przed zgonem rznąć kapeli, hulać gościom i sprawiać zaręczyny synowskie. Jagna w ostatecznej poniewierze nie zaniecha słodkich marzeń miłosnych. W powieściach Reymonta, jak w mytach greckich, lub ruskich bylinach, niektóre postacie mają sens dwojaki: zwykły, prosty, wynikający z logiki ich osobowości, oraz głębszy, symboliczny, w którym streszcza się działanie jakiejś potęgi, kształtującej byt ludzki. W ten sposób realizm zespała się z idealizmem, wynoszącym na piedestał chwały życie, kipiące nadmiarem energii. Rys ten, tak znamienity dla poetyckiej twórczości Reymonta zyskał uznanie i wzbudził zachwyt członków Akademii Szwedzkiej. Prof. Book podkreślał niejednokrotnie, że wzniosłość etyczna i duch idealizmu obok świetnych zalet artystycznych są najwspanialszą ozdobą pism autora „Chłopów“.

I cudzoziemiec zatem dostrzegł, że w tym świecie, który powołała do istnienia wyobraźnia Reymonta w tym świecie nadludzkiej wysiłków i zwycięskiego piękna, graniczą ze sobą dwie potęgi. Surowy instynkt moralny i czarodziejski artystyczny.

Zygmunt Falkowski.

## „Pan Tadeusz” w nowej szacie.

„Przewartościowywanie wartości“ naszego romantyzmu, które, tak zresztą słusznie, podjęto w latach ostatnich, nie ominęło też *Pana Tadeusza*. Znanie ataki J. N. Millera zwracały się nawet szczególnie przeciw niemu. Okoliczność ta zaszkodziła jednak może najbardziej samym owym dążnościom rewizjonistycznym, gdyż z całej twórczości t. zw. wieszczów właśnie *Pan Tadeusz* najbardziej zwycięsko się ostał próbie czasu. Jest to zresztą cechą utworów genialnych, iż każda nowa epoka dziejowa ogląda je z coraz to innego stanowiska i znajduje w nich coraz to nowe wartości, niedostrzeżone przez dawne pokolenia.

Takie nowe światło rzuca na *Pana Tadeusza* wzorowe jego wydanie, niedawno dokonane przez prof. Pigoń, jako 83-ci t. zasłużonej *Biblioteki Narodowej*.

Nikt nie był bardziej powołany do tej pracy, jak właśnie Pigoń, który jest wśród młodszego pokolenia historyków literatury bezwzględnie najwybitniejszym znawcą Mickiewicza, a nawet może w tym względzie nie ustępuje dwom powagom pokolenia starszego: Bruchnalskiemu i Kallenbachowi.

Dwie cechy wyróżniają wybitnie Pigoń i predestynują go do pracy nad Mickiewiczem: gorące ukochanie przedmiotu oraz sumiennosc, gruntownosc i solidnosc roboty. Dość wziąć w ręce pomieniony tom *Biblij. Narodowej* i choćby powierzchownie go obejrzeć — a od razu się widzi i czuje dobrą robotę. Tekst Mickiewicza (oparty na krytycznym i nadzwyczaj sumiennym zestawieniu rękopisu oraz pierwszych wydań — z r. 1834 i 1844, dokonanych pod okiem autora), zawiera zaledwie 280 str., reszta — około 500

stronic — to wstęp, objaśnienia, bibliografia, słownik rzadszych wyrazów i zwrotów, spotykanych w *Panu Tadeuszu*, wreszcie wykaz osób, wspomnianych w poemacie — wszystko to pióra wydawcy. Jeżeli do tego dodamy, iż większa część tego materiału — objaśnienia, umieszczane z dołu każdej stronicy tekstu, są drukowane petitem, będziemy mieli należyte pojęcie o materialnej stronie wydawnictwa, o ogromie pracy, włożonej w nie przez prof. Pigoń.

To dodatnie wrażenie utrzymuje się i rośnie, gdy wglądamy *in medias res*.

Rozpoczyna tom wstęp 150-cio stronicowy, gdzie w 11 rozdziałach, unikając powtarzania rzeczy znanych, zaznajamia nas wydawca z okolicznościami powstania poematu, z jego topografią, chronologią oraz tłem społecznym, na którym osnuł Mickiewicz akcję *Pana Tadeusza*. Zwięźle i przekonująco treścią utworu Pigoń mieni problem odrodzenia jednostki, na tle przetwarzania się społeczeństwa; to też silnie akcentuje, iż w poemacie tym widzimy nie tylko grób Polski szlacheckiej, lecz i kolebkę Polski nowej. Uwiecznia tu bowiem autor przedewszystkiem „nierozzerwalność i biologiczną niespożytość polskości“.

Równie trafne są uwagi wydawcy o roli przyrody w poemacie (obrazy przyrody obejmują 15% całości), także należyte jest wyjaśnienie pierwiastek liryczny oraz nastrój podstawowy utworu, t. j. humor, ta najwyższa filozofia życiowa, co nie zamykając oczu na głupotę i lenistwo, panoszące się w świecie, pozwala jednak „nie zachwiać się w wewnętrznej pewności i tęgości, a nawet — przyjąć to wszystko z uśmiechem“.

W dokładnej bibliografii na szczególną uwagę zasługuje rejestracja przekładów na obce języki. Dowiadujemy się, iż *Pan Tadeusz* jest w całości lub częściowo przetłumaczony na następujące języki: angielski, białoruski, bułgarski, chorwacki, czeski, esperanto, fiński, francuski, hiszpański, litewski, łotewski, niemiecki (4 razy), rosyjski, ruski, słowacki, szwedzki, wreszcie włoski; razem 33 przekładów.

W przypisach do utworu samego prócz dokładności, należy podkreślić dużą wnikliwość i subtelność wydawcy, wyrażającą się naprz. w unikaniu przesady tak modnej dziś „wpływologii”, oraz w umiejętnym oświetlaniu psychologii autora, co nader trafnie uzupełnia całość t. zw. komentarzy rzeczowych.

Uważny czytelnik nie może się jednak powstrzymać od pewnych zastrzeżeń. Zasadniczą wątpliwość budzi nadewszystko traktowanie przez wydawcę poematu nieledwie jako kroniki historycznej, lub conajmniej historycznej powieści. Pigoń stanowczo przesadza w sugerowaniu Mickiewiczowi wyraźnego planu, rzekomo opracowanego w najdrobniejszych szczegółach. Wobec każdej niekonsekwencji autora, tak przecież licznych w poemacie, wobec każdego anachronizmu, Pigoń staje zdezorjentowany i tylko w wypadku najzupełniejszej oczywistości stwierdza ową niekonsekwencję lub anachronizm. A przecież powinno nam chodzić jedynie o to, jak rzecz ujmuje Mickiewicz, nie zaś jak tam mogło być rzeczywiście (!).

Więc n. p. w trakcie rozmowy Sędziego z Telimeną (Ks. III) Pigoń zadaje pytanie: „Może więc istotnie z końcem I Ks., podczas tak spóźnionej wizyty Robaka, o tem wszystkim (t. zn. o losie Tadeusza) właśnie była mowa?” (str. 152). Albo w Ks. V, gdy Gerwazy wspomina nazwy zaścianków: Rzekików, Ciętycze, Rąbanki, — Pigoń w przypisach stwierdza słusznie, iż nazwy te są fikcyjne, ale wychodząc z faktu, iż „wykazują one źródłosłów czysto polski”, konkluduje: „Mieszkała (?) tam (?) snadź szlachta czysto polska” (str. 261). Analogiczne ustępy spotykamy jeszcze na str. 107, 122, 153, 166, 227, 228, 247, 274, 280, 313, 314, 315, 340, 471. Ustęp na str. 313 tembardziej zasługuje na uwagę, iż tu wydawca nie włączył do tekstu dwu wierszy, dopisanych przez samego poetę na egzemplarzu wydanie z r. 1844.

Była wieść, iż od przodka Dobrzyńskich  
ta klinga,

Wydarta pod Grunwaldem z rąk mistrza  
Junginga.

Pigoń, usuwając te wiersze, tak się tłumaczy: „Przecież Gerwazy nie wywodził się od

Dobrzyńskich, a w takim razie jakim sposobem dostał mu się ten miecz, zdobyty na Krzyżakach przez Dobrzyńskiego?” Podobnie opuszczone w porównaniu z rękopisem dwa wiersze na str. 363 muszą być koniecznie włączone do tekstu, gdyż sens tego wymaga.

Wogóle należy ustalić fakt, iż niekonsekwencje Mickiewicza pochodzą, prawda, często z niedopatrzania, lub nieskoordynowania różnych redakcyj tekstu, ale też czasami są wręcz świadome, gdyż poprostu do konsekwencji formalnej i ścisłości autor nie zawsze przywiązywał wagę. Musi to przyznać zresztą i sam Pigoń, gdy n. p. stwierdza, iż w poemacie próżno szukać stałego umiejscowienia geograficznego dla Soplicowa (str. 446).

Czasem jednak wręcz odwrotnie dopatruje wydawca nieprawdopodobieństwa, gdzie go wcale niema. N. p. aż dwa razy: we wstępie (str. XC) oraz w objaśnieniach (str. 332) pisze: „Mało jest prawdopodobne, by w pełni lata „wilcze oczy jako świeczki“ błyskały w najbliższej odległości od dworu”. Kto zna Białoruś, ten wątpliwości podobne żywić nie będzie. Niżej podpisany n. p. widział w Mohylowszczyźnie w lecie 1897 wilcze oczy w zupełnie analogicznych okolicznościach.

Z innych niedokładności należy zwrócić uwagę na przypuszczenie Pigionia, że Stolnik Horeszko był jedynie urzędnikiem powiatowym (str. 88). Owszem, nic nam nie zabrania przypuszczać, iż to był Stolnik Litewski, jeden z następców Stanisława Poniatowskiego na tym urzędzie, więc bezsprzecznie „Wielki Pan”.

Na str. 350 słowa Sędziego do Tadeusza: „A nie — to bizun; jutro staniesz na kobiercu!” zapowiadają oczywiście chłostę, nie zaś ślub Tadeusza z Zosią, jak sądzi Pigoń.

W przypisie na str. 499 przemówienie Hrabiego do Telimeny, wyraźnie zaprawne ironją, poczytuje Pigoń bezzasadnie za wyraz donkiszoterji.

Kilka jeszcze podobnych zarzutów, zresztą bardziej błahych, dałoby się poczynić, jako że książka ta zasługuje na analizę skrupulatną i sumienną. Nie osłabiają one przecie w niczem wartości tego wydania, lepszego bez wątpienia, niż którekolwiek dotychczasowe. Zaszczynie się ono wyróżnia wśród setki tomów *Biblioteki Narodowej*, tak przecie obfitej w doskonałe opracowania. W dotychczasowej działalności naukowej prof. Pigionia jest pozycją najcenniejszą, oraz punktem wyjścia do nowej syntetycznej pracy o *Panu Tadeuszu*, która pod tytułem *Narodziny Epopei* wychodzi właśnie u Gebethnera.

Stanisław Cywiński.

## Z moich wędrowek po Wielkopolsce.

Wolsztyn.

Jeden z wielu tych zakątków Wielkopolski, gdzie w ciągu lat tylu pod żywym techniem Zachodu mimo przesładowania pruskie, rósł i męźniał piastowy duch naszego narodu, kultury chciwy, łatwo ją przyswajający, jednak

odrębności własnej świadomy i zazdrośnie jej strzegący.

Ustrzegł się od zniemczenia, śliczny Wolsztyn, o miedzę zaledwie od granicy Niemiec oddalony; ustrzegł się, chociaż barbarzyńsko

i natrętnie był niemieczany i dziś w naszym miasteczku Ojczyzny Odrodzonej, jak cenna perełka, błyszczeć zasługuje, kipiący życiem, wzorowo uporządkowany i cudnie schludny, tonący w zieleni ogrodów, skąpany w srebrnych falach rodzimego jeziora, którego widok opisać trudno.

Tysiąc morgów ma ono i łączy się z drugiem, znacznie odeń większem.

Nad brzegiem jeziora rozrzucony leży Wolsztyn, królując szczytem wież kościelnych nad okolicą.

W sierpniowym słońcu, w złoto pól oprawne, mieni się, połyska barwami żywego szafiru czarowne jezioro...

Z okien wagonu patrzę zachwycona.

Na dworcu spotyka mnie ks. Dziekan Zdzisław Zakrzewski, proboszcz Wolsztyński, którego uprzejmie zaprosiny do Wolsztyna mnie sprowadziły. Zaśny kapłan serdecznie wita Wilniankę.

Z dworca na plebanję niedaleko. Ruszamy.

Po drodze uderza mnie polskość miasta. Niemieczyny jakby nie było. Tylko polską słyszę mowę. Sklepy prawie wyłącznie polskie.

Obey przybysz snadź rzadkim bywa tu gościem. Rodzimy Wielkopolanin zwrócił już we mnie Kresówkę (z mowy nas tu poznają, z oblicza, ze sposobu patrzenia, czy ubrania); słyszę już za sobą półgłosną uwagę: „ta pani, pono, zdaleka...”

„Zdaleka, bracia moi, — odpowiadam w myśli, lecz sercem, tom jest wam bliska...”

Wehodzimy do domu, w którym mieszka ks. Dziekan.

Dom ten, to piętrowa kamieniczka, kilku dużemi krzewami tuji od ulicy odgradzona.

Po lśniących wygodnych schodach udajemy się na piętro.

Od progu uderza mnie powiew świeżego powietrza, płynący z otwartego balkonu, zapach róż, łagodna harmonja barw, poważny komfortumeblowania.

Rozglądam się ciekawie. Pod jednym z okien stoi otwarty fortepjan, na ścianach — obrazy.

Tu słodki Mignard, tam oryginalny ciekawy Van Dyck, Bacciarelli, Fałat i tylu innych mniej sławnych, lecz ze znanstwem i smakiem dobieranych.

Milczę zachwycona.

Już wiem u kogo jestem.

„Pokaż mi, jak mieszkasz, a powiem ci, kim jesteś” — przychodzą mi na myśl słowa niezapomnianego naszego Wiwulskiego.

W mahoniowych staroświeckich szafkach, za szkłem spoczywa bogaty zbiór przedhistorycznych wykopalnych ceramik, które ks. Dziekan w ciągu dwudziestopięcioletniego przebywania swojego w Galejewku pod Chojnem ze znanstwem i zapałem gromadził. Niejedną z tych urn i łzawnic własnoręcznie z głębi starego cmentarzyska na świat Boży wy dobył. Nie jeden też tu jest unikat w Muzeach Europy nieznanym. Cmentarzysko Galejewskie leży, według słów Ks. Zakrzewskiego, na końcu Wielkopolski „gdzie wody Orli ją od Śląska dziela”, między Galejewkiem, Podborowem i Chojnem. Cmentarzysko to najwydatniejsze w Polsce,

było w użyciu przez ciąg długich wieków, jak o tem można sądzić z wydobytych pamiątek. Niektóre z nich np. szpile, zausznice, siekiery i brzytwy z epoki kamienia łupanego i z epoki brązu pochodzą.

Inne do epoki żelaznej zaliczyć należy. Nad temi jednak, ciekawemi, bezsprzecznie, dla archeologa specjalisty, okazami nie zatrzymuję się dłużej, bo oko moje ciągną i przykuwają śliczne gliniane łzawnice i „przystawki” o przedziwnych kształtach; jedne jasne zdobne misternym rysunkiem w czerwone trójkąty i kółka, inne ciemne „grafitowane”, tak artystyczne piękne, lekkie. że się wierzyć nie chce, iżby to możliwem było aby na 400 — 500 lat przed Chrystusem takie cudeńka tu na naszej ziemi ludzie tworzyć umieli... Biorę jedno z tych areydział do ręki, w milezeniu pobożnem zważam czystość linii, podziwiam doskonałość rysunku. Nie barbarzyńca urobił je z rodzimej gliny... Nowocześni badacze twierdzą, iż na ziemiach Wielkopolski żyły pierwotnie ludy, Karpo-Dakami zwane; czy oni nam już praojcami byli, czyli zaginęli w późniejszej wędrówce narodów, słowianom miejsce ustępując, do tego nie ustalono, ale *wzory łzawnic* i t. zw. „przystawki” golejewskie niewątpliwie karpodackich czasów sięgają...

Z łaski Ks. Dziekana i ja szczęśliwą posiadaczką golejewskiej łzawnicy jestem.

Gdy to piszę stoi przede mną tu małe cudeńko, misternie grafitowane, kształtem przypominające starożytny kaganek rzymski.

Piękna już były świadome ręce, które je ulepiły.

Czyż ono lży mieściło i czyjego bólu było dostojną skarboną?...

Dziś my, ludzie kultury, cywilizowane dzieci XX wieku, dla Umarłych naszych tylko na blaszane wieńce, najczęściej jaskrawe i brzydkie, za błahy grosz u przekupnia kupione, zdobyć się umiemy...

Lzy nasze są nietrwałe i przelotny jest po tych, co odeszli, nasz smutek...

Przedwiekowi twórcy „łzawnic” czcigodnej myśli swoich Umarłych czcili, wyraz i kształt uczuciu swojemu nadali, tworząc tę ból skarbnicę przedziwną...

Zbiory Ks. Dziekana Zakrzewskiego posiadają jeszcze jeden, niezwykle ciekawy okaz.

Jest nim z gliny ulepiony, foremny przedmiocik, do małego garneczka hermetycznie zamkniętego podobny, który za każdym poruszeniem wydaje dźwięk, jakby przesuwanych wewnątrz ziarenek, czy paciorek. Jakby suchy grzechot. Jest to, jak mnie objaśnił właściciel tych cennych zbiorów, *gruchawka* dziecinna, obok prochów dziecka przez rodziców składana, pramatka naszej zwykłej grzechotki...

Rozżaleni rodzice umarłemu swemu dzieciatku do urny z jego prochami ulubioną zabawkę kładli... Wieków dziesiątki minęły, prochy umarłych z ziemią rodzinną zmieszały — gruchawkę wydobyto z ciemnie prastarego cmentarzyska na świat Boży i dziwiają się jej oczy ludzkie, dusza przed pięknym misternym kształtem się korzy, o myśl, z którą ją kiedyś jakiś człowiek w zamieszchłych wiekach two-

rzył, zadumana myśl dzisiejszego mieszkańca tej ziemi zapytuje...

Ks. Dziekan ma zamiar z czasem zbiory swoje Muzeum Wielkopolskiemu przekazać. Cenny to będzie legat! I niemała zasługa zbieracza, który w ciągu lat niezmordowanie gromadził te pamiątki, byle krajowi przekazać, ku sławie Ojczyzny i nauce szerokich warstw. Po za tem ks. Zakrzewski posiada jeszcze zbiór starych polskich monet, ciekawą kolekcję starych sztychów niemieckich i holenderskich przeważnie satyrycznych dziejów Polski, którą z rąk obcych wydobył, komplet albumów Napoleona Ordy, dużo starej porcelany i pięknych włoskich alabastrów.

Z kurzu lat odczyszczony, rozszerzony, i artystycznie odnowiony kościół króluje nad okolicą.

Wolsztyn ma 5 tysięcy mieszkańców a może pod względem ładu, harmonji i czystości stutysięcznym miastom naszym przykładem świecić. Na szczególną uwagę zasługuje wspinały gmach seminarjum nauczycielskiego, które pod światłem kierownictwem D-ra Adwen-

towskiego znakomicie się rozwija. Prześciznie położone nad błękitnem jeziorem Wolsztyńskim posiada piękną kaplicę, jasne przestronne klasy, obszerną salę gimnastyczną, zaopatrzoną we wszelkie przybory, gabinet przyrodniczo-fizyczny, laboratorja etc. etc. Westchnęłam oglądając te piękności: niestety, my tu po naszych wiekowych okupantach odziedziczyliśmy tylko brud, pijactwo, lenistwo i nędzę...

Budując nowe życie, potykamy się wciąż o tamte kamienie, i cierpi na tem każda prawda i każda budowa.

Czasu, czasu nam dużo jeszcze trzeba.

Z Wolsztynem miastem graniczy piękna posiadłość wiejska hr. Mycielskiej, z cudnym stuletnim parkiem i pałacem.

Park ten to miejsce przechadzek mieszkańców Wolsztyna. Nikt tam jednak nie łamie drzewek, nikt się nie waży krzewiny uszkodzić: Szanuje się własność cudzą: „Kultura“!

Ze sporą garścią prawdziwie pięknych wrażeń miły Wolsztyn opuszczałam, niejednemu radziłabym tam zajrzeć!

Stanisława Świętorzecka.

## Migawki wiejskie.

Gdybyś ty mnie, jak ja tobie,  
Dalibyśmy gęby sobie!

Ale ty mnie kiepsko życzysz,  
Ja do ciebie... a ty krzyczysz.

Tak wyśpiewywał, wielkim głosem, Jasiek zwany Czarnym, dla czarnej, jak kruk, czupryny. Tak se śpiewał na tańcowaniu u sąsiadów Wylonów, a gdy skończył tę piękną zwrotkę, co ją sobie sam ułożył do Magdy, wybranki swego serca, zakreślił dziewczuchą w zawrotliwym oberku z takim rozmachem, że wszystkie wstążki co jej od paciorków na szyi spadały do pasa, zafurkotały radośnie. Czekał co mu jego bogdanka odśpiewa i aż mu w oczach pociemniało, kiedy usłyszał trochę piskliwy, ale rezolutny głos Magdy.

O! jakżeby nie krzyczała!

O! jakżeby gęby dała!

Ale matka zakazała,

Cobym chłopców całowała.

Magda i Jasio już dawno mieli się ku sobie, ani wiadomo kiedy się to zaczęło, tak jakoś pasąc razem gęsi, krowy i innego gatunku inwentarz wiejski. Jasio był sierotą, odumarli go rodzice jeszcze w czasie wojny, kiedy tyfus plamisty zabierał ludzi na tamten świat, a ziemia ementarna tyle narodu pokryła.

Długo Jasio oplakiwał tatula i matulę, dawał co roku na wypominki, a żałobne wotywy zakupywał w rocznicę śmierci. Na pocieszenie zostało mu 12 morgów dobrego gruntu, porządna chałupa i nieostatnie obejście gospodarskie. Doszedłszy do lat służył w wojsku, na Boże Narodzenie dostał kilkodniowy urlop i pojechał do rodzinnej wioski.

Magda była córką dostatniego gospodarza, po ciotce odziedziczyła cielną krowę i sześć

morgów gruntu — co to rychtyk akurat graniczyły z Jasinem polem, tylko miedzę zaoarać a będzie okruteczny łan ornej ziemi — tak sobie pogadywali starsi, patrząc na młodą parę. To też gdy Magda tak galantnie odśpiewała, Jasiowi otworzyło się niebo, zmówili się więc zaraz z dziewczyną, że kiedy wróci z wojska, to przyjdzie do niej z wódką, a ona już z pewnością do niego lyknie.

I wrócił Jasio, wrócił tak jakoś na kopanie kartofli, zastał cały swój dobytek w porządku, bo się nim opiekował stryj Maciej, pilnując by nie było krzywdy sierocie. Zastał Magdę krasną niby mak polny, tylko cosik się we wsi popsowało! Jużei, ludzie tak jak dawniej serdecznie go witali, a dziewczuchy zęby do niego szczerzyły, mimo to czuł koło siebie jakąś zmianę. Zamiast wełniaków i wyszywanych gorsecików, dziewczyny ubierały się w kaftaniki i krótkie spodniczki, nawet córka wójta, Kaśka Lawendowska zaprzepaściła swoje długie warkocze i miała krótkie włosy, a chociaż jej matula wszystkim kumom rozpowiadała że: — tak trza było po chorobie, bo ją tak frybra wytrzęsła, że jej wszystkie kosmyki wylatywały kiej pierze, — jednak ludzie wiedzieli, że to nie frybra, tylko Combierekiewicz namówił do tego obcinania. Gospodarskie syny, co przedniejsza młodź, już nie paradowali na Sumie w pięknych białych sukmanach, tylko nosili spencerki i marynarki, w których wyglądali pokracznie, a buńczuczne czapki z pawimi piórami, znikły zupełnie.

W kilka dni po powrocie, Jasio odświeżnie ubrany, że aż jasność biła od niego, ruszył w odwiedzinę do Wylonów, a serce jak młotem waliło mu w piersiach. Zastał Wylona samego,

siedział chmurny na zydłu przy kominie i coś go srodze trapiło, bo chłop zwykle gadatliwy i krotochwilny, odzywał się półgębkiem i jakby od niechcenia. W chałupie też było inaczej, aż dziwno: zamiast świętych obrazów, co tak pięknie ściany ozdabiały, teraz na wprost wejścia wisiało duże, przez muchy popstrzone lustro z zielonym odcieniem, że aż się Jasio przestraszył, bo miał taką cerę, jakby już od tygodnia leżał pod wodą; pod lustrem zamiast ławy, lub zamożnej skrzyni na chusty, stał jakiś grat, nito sofa, nito kanapa na trzech nogach, czwartą zastępowały dwie cegły.

Wylon widząc rozglądającego się chłopaka mruknął.

— Dziwujesz się, dziwujesz, co tak u mnie galanty! Stary Wylon kiej idzie z siekierą drwa rąbać, to się teraz w lustrze przygląda, niczem dziewczucha w ruczaju! I tego i owego doczekałem się na starość!

— A gospodyni? spytał Jaś.

Wylon widać nie słyszał, bo nie nie odpowiedział.

— A córka wasza — Magda! Kajże jest?

— Ady podyrdała z matulą do miasta. Ino ty na nią nie wołaj Magda.

— Tak, tak, niech cię ręka Boska broni

— Ino jak?

— Ady Cencylija! — A widząc zdumienie Jasia ciągnął dalej. — Co ja ta będę gadał! Sam się dowiesz, żeby ino nie było zapóźno! Tak ci ją Comberkiewicz nazwał, i koniec.

— A cóż to za jeden, co ma taką moc, że ludziom odbiera to, co na Chrście świętym dostali?

Stary machnął ręką. — A lichy go wie! Jakiś ta niby familjant mojej Jagny, po ciotecznej siostrze. Zły wiatr go tu posiał! A wyszczekana bestya, gada i gada, ludziom we łbach przewraca — i tyła.

Zaczął się tedy Jasio rozpytywać po wsi o tego familjanta starej Wylonowej, ale się nie wiele dowiedział, bo chłopaki jakoś niechętnie o nim wspominali, starzy wzruszali ramionami, jedne tylko dziewczuchy wychwalały Comberkiewicza pod niebiosy.

— Takiego galantnego kawalera dawno we wsi nie widziano, bo to i urodziwy, gada niczem Książd Dobrodziej na ambonie, ubiera się kiej jaki dziedzic, a mądry! a nauczny! kiej pisarz rękę złamał, to on za niego wszystko pisał! Niech zaśpiewa, to tak rzewliwie, że same oczy płaczą, a serce to już, już ino że nie pęknie. — Tak dowodziła Józka Michalkówna. Posłuchaj ino Jasiu, posłuchaj. — I zaczęła wyciągać ile tylko sił i głosu starczyło.

Tutaj stali, rozmawiali,

A to jest rzecz prawdziwa!

A kto się w kim szczerze kocha,

Z tego nic, nie bywa!

Bardzo się Jasio zafrasował, bo mu te słowa „Z tego nic nie bywa“ przywiodły na myśl Magdę, z którą się jeszcze nie widział sam na sam, jakby dziewczyna unikała tego spotkania, a przecie obiecała mu się w onym pamiętnym oberku! Westchnął więc głęboko i posmutniał.

— Widzisz Jasiu, już i tobie się na płą-

kanie zbiera, żebyś tak posłyszał o białych łabędziach, co se w górach siedzą! tobyś nie wstrzymał.

— O laboga! a kajżeś to widziała łabędzie co w górach siedzą? — zachnął się Jasio, któremu wstyd było własnego rozczulenia.

— Ja ta nie widziałam, ale Comberkiewicz pewnikiem widział, kiej tak śpiewa.

— A skądże on jest co takie cudowności widział.

— To ty nie wiesz? Ady z Ozorkowa, Miał ci tam ponoś fabrykę i robotników! i wszystko co miał, to im rozdał, żeby byli szczęśliwi! Taki on dobry! Ale teraz pojechał tam do nich, bo ponoś nie mają nijakiego szczęścia.

— Głupie twoje gadanie, tyle akurat gór w Ozorkowie co u mnie na dłoni. Kiedym wracał z wojska, przejeżdżałem tamtędy! Rozsierdziła się dziewczucha o to „głupie gadanie“.

— A żebyś wiedział, że Magda Wyłanówna to została Cencyliją od tych łabędzi!

Gorzko się zrobiło Jasiowi na te słowa, chcąc jednak dowiedzieć się prawdy, zaczął prosić, żeby zaśpiewały o Cencyliji.

Dziewczyny spojrzwały po sobie.

— Kiej widzisz, Jasiu, u onych łabędzi są takie cudowności, co ich nijak wyrozumieć ani spamiętać nie można.

Tutaj wysunęła się mała, czarna Zośka Pawelkówna, wielki spryciarz i bardzo rezolutna.

— No to ja ci już zaśpiewam, bom każde słówko zapamiętała, niby z katechizmu. I zaczęła donośnym głosem, z wielkiem przejęciem: Białe łabędzie, co w górach siedzicie Powiedzcie, czy piękną Cencyliję widzicie?

Cencyliję, leliję!

Nie jedna jeszcze klapsyndra uderzy,

Nizeli do kresu, naszego tandresu miłość dobieży

Cencylijo, lelij!

Nim się wywiedzie śliczna struktura

Naszej miłości architektura

Cencylijo, lelij!

— Kto to może być ona klapsyndra i on tandres? — pytała Zośka — syn organisy tak gadał, że to są święci męczennicy, a w kalendarzu nie stoją, bo już dla nich nie było miejsca. Swoka Marcinowa chciała swoją ostatnią nazwać Klapsyndrą, ale ją ksiądz proboszcz okrutecznie sfukał, na Cencyliją to się zgodził.

Ale Jaś już więcej nie słuchał, zrozumiał, że mu Comberkiewicz zabrał serce Magdy i że on nigdy talentami nie dorówna szczęśliwemu rywalowi — naciągnął czapkę na uszy i odszedł chmurny i milezący.

Akurat w on czas przypadł wielki odpust na Ś-go Łukasza, wybrał się nasz Jaś na nabożeństwo i szedł z procesją, śpiewając pobożne pieśni, a tłum był wielki, bo i kompanje przybyły z okolicznych parafii z chorągwiemi i muzyką, tak że się narodu natłoczyła wielka moc. W tem, ni ztąd ni zowąd, wystrojona, wypaciorkowana jaśniejąca kiej zorza, smyrnęła koło niego Magda i niby niechcący szturchnęła go łokciem. Spojrzał Jaś, a dziewczyna pokraśniała.

— A toś ty o mnie zapomniał? — szepnęła,

— Kiej nie wiem, czy mam pamiętać o Magdzie, czy o Cencyliji!

— Dyć ja dla ciebie, Jasiu, zawsze ta sama Magda. I zniknęła w tłumie, a Jasiowi świat się przemienił, zdało mu się, że aniołowie koło niego śpiewają, a on jest w raju. Taka w jego duszy zapanowała błogość, że zapomniał o Comberkiewiczu i z obojętnością spojrzął na niego, gdy mu go pokazano, jak szedł z chora-gwią przed celebrantem, trzymając głowę zadartą i śpiewając na całe gardło.

Rozpromieniony Jaś poszedł zaraz do stryja Macieja i uradzili, że trza do dziewczuchy iść z wódką — kupili więc flaszkę najprzedniejszej wódki, Jaś wybrał najszerszą i najkrajniejszą krakowską wstążkę, a Zośka Pawełkówna zrobiła z niej taką galantną kokardę i tak pięknie flaszkę przystroiła, że aż się ludzie dziwowali. Szedł więc Jaś przez wieś odświętnie ubrany w najpiękniejszej białej sukmanie, opasany czerwonym pasem i na tacy niósł drogocenną flaszkę, z oną wódką słodkiej szczęśliwości.

Gdy weszli do chaty zastali samą Wylanową, nieobecność gospodarza zastanowiła staro-go Macieja, ale Jaś myślał tylko o Magdzie i nie zdziwił się, że jej w izbie nie było, bo w onych okazjach dziewczuchy chowają się do komory, czekając aż je matula zawoła. Już pokłoniwszy się nisko gospodyni, miał dziewczosłab rozpocząć orację, ale mu Wylanowa przerwała, chwyciwszy flaszkę, przyglądała jej się chwilkę i nie odpowiadając nawet na sakramentalne — Niech będzie pochwalony — stanęła hardo przed Jasiem.

— I cóż ty sobie myślisz, durniu jakiś? — zawołała — będziesz tu do mojej córki, do Cencyliji z wódką przychodził, niby parobek do dziewczki od świń! Z winem przychodź do gospodarzkiej córki! z winem! Czy to ciebie nie stać? Czy to moja córka nie godna pić wino?

— Ależ gospodyni! Wylanowa! — przerwał jej Maciej.

— Cichota, nie przerywajta! A niechże ja se raz ulżę na sercu. Trza tu wszelakie oby-czaje zmienić

— Laboga! — zawołał Jaś.

— Cicho ty młokosie jakiś! Trzymaj język za zębami! A żebyś wiedział, że stara Wylanowa to jest nie byle kto! Ho! ho! za młodych lat najeździłam się z panią dziedziczką, com u niej była za piastunkę, przez cały świat! ho! ho! i nie w takich ja deskach jeździłam, jak ta świnią na targ, ino na aksamitnych podusz-kach. Wino to ci ja szklankami pijałam! A te twoje 12 morgów, to ja ci szanuję, bo to jest rzecz godna, ale te twoja sukmanę po ś. p. o-jcu, Panie świeć nad jego duszą, to ci mam w pięcie, słyszysz w pięcie. A nie mogłeś się to przystroić w spencyrek jak te inne kawalery, co ich przecie mój familjant Comberkiewicz rozumu nauczył. Póki ci ja chodzę po świecie, to moja Cencylija, moja lelija nie będzie wódki lykała do żadnej sukmany.

Jaś uciekł od wrzeszczącej baby, flaszkę wódki rozstrzaskał o kamień, wstążkę poszarpał

na strzępy, a Comberkiewiczowi poprzysiągł wieczną zemstę.

Nie długo na nią czekał, bo akurat tego samego dnia zjawił się we wsi niepozorny człe-czyna i zaczął się rozpytywać o jakiegoś Comberka. Coś jakby przecucie tknęło naszego Jasia, wskazał mu chałupę Wylanów.

— Tam się dowiecie — rzekł bez namysłu.

Wkrótce potem otworzyły się gwałtownie drzwi od chaty, najpierw wyleciał Comberkie-wich, zmykający niby szarak przed chartami, za nim pędził nieznamy, a Wylanowa staną-wszy na progu wymyślała na familjanta, prze-klinając dzień, w którym go zobaczyła. Wyszło na jaw, że ów galantny kawaler miał żonę i dzieci, ale wygodniej mu było zwracać głowy spokojnym mieszkańcom zapadłej opoczyńskiej wioski, niż uczeiwie pracować jako Comberek w fabryce w Ozorkowie.

Wesele Magdy i Jasia odbyło się jakoś zaraz po Trzech Królach huecznie i szumnie — o Comberkiewiczu wszelki słuch zaginął, tylko czasami o wieczornej porze dziewczęta wycią-gają cienkimi głosami pieśń o klapsyndrze i tandresie.

Bonifacy Wrzos.

JULIUSZ WIRSKI.

## Z CYKLU „PRYMITYWY“.

### I.

*Noc była dzisiaj cicha, —  
srebrzysta i turkusowa;  
odeszłaś odemnie daleko,  
jak zapomniane słowo!...*

*Odeszłaś drogą najcichszą  
między klonowe aleje;  
wizja Twej drogiej postaci  
w zdarzeń pomroce szarzeje...*

*I niewiem, czemu Twój smutek,  
choć niema już Ciebie — pozostał?!  
Taka mi byłaś kochana!  
Taka mi byłaś — prosta!...*

### II.

*O świecie ktoś grał sonatę —  
sonatę C-moll Bethovena;  
w pokoju moim się błąkał  
subtelny zapach verbeny.*

*Na ścian perłowej tkaninie  
cień Twój kochany się błąkał  
i włosów promień złocistych,  
jak przedź baśniowego pająka...*

*W miejscu, gdzie była Twa głowa,  
na ścian obiciu jedwabnem,  
pachnące włosów jaśnienie,  
śpiewało o szczęściu niedawnem...*

*I oto samotne zdumienie  
pocałowało mnie w usta:  
Tobą wszak było tu wszystko,  
a jednak pokój był pusty...*